

Klipsujemy

10 maja 2015

Siedzimy w magazynie i klipsujemy. W dobry humor wprawiają nas ceny na metkach ubrań: spodnie za 800 złotych, kąpielówki za 250, czapka za 150. Kto to kupuje?

– Nie zrobić dziury, kurwaaaaa! – instruuje nas kierowniczka, kobieta pod sześćdziesiątkę, w okularach, o wrednym wyglądzie dyrektorki gimnazjum. Przypomina trochę Henrykę Bochniarz. Z czystej złośliwości ceny klipsowanych łachów przeliczamy na nasze dni i godziny. – Stary, dwa tygodnie pracy i kupujesz sobie spodnie.

Dziś trafiły mi się buty. Średnio po 2 tysiące za parę. Musiałbym na nie robić półtora miesiąca.

Jak człowiek wychodzi z takiej „fabryki”, to wie, do kogo świat należy. Nie do niego.

Granica Ursynowa i Okęcia, zadupie trochę. Jest tu trochę magazynów, trochę biur, jakieś call center. Wszystkie te pudełka podobne do siebie, we wszystkich pracują żywi ludzie, wykonując beznadziejną i bezsensowną pracę. Na trzy zmiany.

– Jak w sklepie zobaczą dziurę, to odsyłają do nas, a my ściągamy z pensji! Podpisujcie swoje kartony! – drze ryja Bochniarz, więc ja oczywiście nie podpisuję. – Ciekawe czy chociaż raz odesłali... – rzucam do towarzyszy niedoli. Ktoś dłużej pracujący odpowiada, że nie. Ale nie zmienia to podejścia pracujących: wszyscy podpisują. I pilnują, czy inni również podpisali. Solidarność naszą bronią.

Płacą nam 9 złotych na godzinę. I to chyba musi być jakiś rarytas, ponieważ dojeżdżają tu ludzie z Tłuszczów, Garwolinów, Parzęczewów. Lud nie mieszka już Śródmieściu, coraz częściej w ogóle wyprowadza się z Warszawy, bo nie stać go na mieszkanie w stolicy. A ponieważ czas roboła jest niewiele wart, to stać go na tracenie życia w pociągu z Mławy

i z powrotem.

Poznaję Marka, trzydziestolatka z Warszawy, który ewidentnie do nas nie pasuje: jest elokwentny, dowcipny i schludny. Pracuje 16 godzin dziennie – od 6 do 22, na dwie zmiany. Cieszy się, bo „gdzie indziej nie dają tyle popracować, a on musi zarabiać”. Jego matka zachorowała na raka i nie chcąc brać standardowej chemii, wzięła kredyt na „lepszą”. Ludzki bank. Matka zmarła, a Marek pracuje na raty.

Siedzimy w magazynie i klipsujemy. Czuję się jak jakaś łódzka szwaczka z „Ziemi Obiecanej”. Oczy mnie bołą, łzawią. Co chwilę kłuję się w palec. Co chwilę nie trafiam w szew i zapewne robię dziury, niszcząc luksusowe gacie za dwie stówy. Gwałcą mi uszy – puszczają nam z radia jakieś „nowe, mega, super, extra kawałki” z radia eska czy innego gówna. Znamy to z więzień i szpitali. Przy tej muzyce w tych miejscach nigdy nie poczujesz się samotny.

Nie tylko dlatego. Na hali panuje psychoza związana z kamerami. Świadomość ich obecności sprawia, że choć bardzo często nie ma nic do roboty, pracownicy sami wyszukują sobie pracę – sprzątając, przesuważ kartony z miejsca na miejsce, układając wieszaki, segregując metki oraz wykonując inne pozorowane, zbędne czynności. Jak w obozach koncentracyjnych i gułagach – gdy się chciało przeżyć.

– W to miejsce, na którym siedzisz, jest skierowana kamera – słyszę. – Kierownik jest na hali, więc poudawaj, że coś robisz.

– Zwolnią? – pytam.

– Mogą.

Jak mogą, to zwolnią – myślę logicznie – zawsze mnie zwalniają. Na bezrobociu człowiek staje się zbędny temu społeczeństwu, nie dorzuca się do wzrostu dochodu narodowego, o którym czyta w gazetach. Nie ma prawa żyć, bo nie może

kupować. I wtedy przydają mu się umiejętności zdobyte w takiej pracy.

Bo siedzimy w magazynie i klipsujemy, żeby tych ciuchów nie kradli ze sklepów. To dzięki tym klipsom bramka robi pi-pi-pi i ochroniarz zarabiający 8 zł na godzinę łapie złodziejasków, którym się odechciało pracować za takie stawki.

Wszystko bez sensu. Przecież wystarczyłoby pójść do jakiegoś Carrefoura, kupić spodnie za 100 zł, przemetkować i już masz spodnie za 800. I nikt nigdy nie pozna. Bo to są najczęściej te same spodnie, z tych samych szwalni, szyte tymi samymi bangladeskimi rękami.

Autorstwo: Damian Duszczenko

Źródło: Strajk.eu